

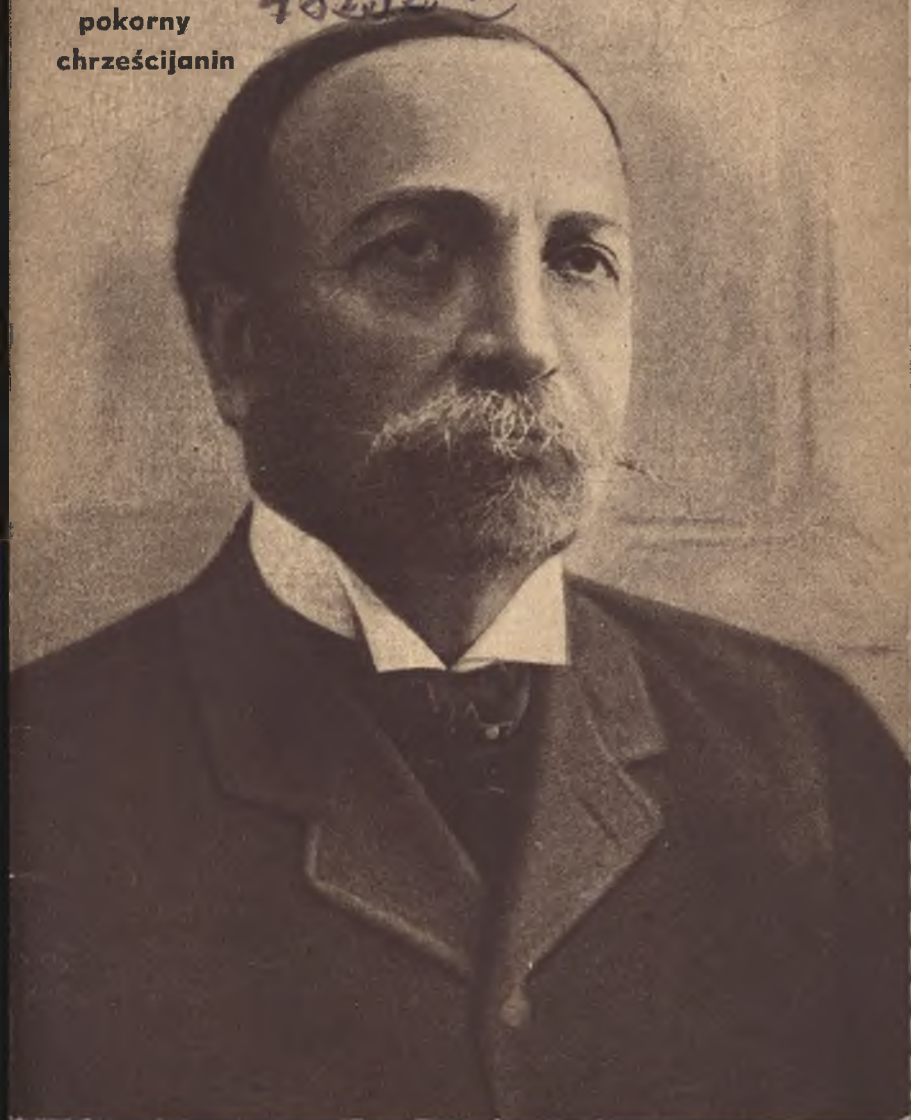
**Edward Woyniłłowicz**

**Wielki ziemianin**

**pokorny**

**chrześcijanin**

48292 I



# BIBLIOTEKA ŻYCIORYSY BOHATERÓW CZYNU

---

Cena każdego tomiku zł 0,50

- Nr 1. KS. WŁ. STAICH  
**Bogdan Jański**, apostoł tułaczy
- Nr 2. ST. KOSKO  
**Antoni Scheur**, lotnik
- Nr 3. A. ZAHORSKA  
**Maria Teresa Ledóchowska**,  
matka misyj afrykańskich
- Nr 4. ALEKSY P.  
**Hieronim Jaegen**, świątobliwy bankier
- Nr 5. Z. SIKORSKA  
**K. de Foucauld**,  
badacz Marokka i misjonarz
- Nr 6. F. SUCHODOLSKA  
**Elżbieta Leseur**, niewiasta mężna
- Nr 7. ST. KOSKO  
**X. Seipel**, wielki kanclerz
- Nr 8. F. SUCHODOLSKA  
**Cecylia Plater-Zyberkówna**,  
pracownica Boża

---

NAKŁAD KSIĘGARNI I Drukarni KATOLICKIEJ S. A.  
KATOWICE, UL. MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO NR 58

48292

# Życiorysy Bohaterów Czynu

Nr 17

## Edward Woyniłłowicz

Wielki ziemianin – pokorny chrześcijanin



1875

1875

1875

1875



**Gabryella Łańcucka**

# **Edward Woyniłłowicz**

**Wielki ziemianin  
pokorny chrześcijanin**



**K A T O W I C E 1 9 3 8**

**Nakładem i drukiem Księgarni i Drukarni Katolickiej S. A., Katowice**

2564  
38

48292

I

NIHIL OBSTAT

(—) Dr Wilk  
censor ex offio.

V I 397/37.

IMPRIMATUR

Katowiciis, die 29 Decembris 1937.

v. g. Vicarii Generalis.  
(—) Kasperlik

L. S.

Krieg. i. Druk. Katolicka  
Egzemplar Bonigrilowy  
Katowice 1.7.1938

## Wstęp.

Przedziwny kondukt żałobny kroczył głównymi ulicami Bydgoszczy dnia 18 czerwca 1928 roku. Tłumy przechodzącej publiczności stawały w osłupieniu po obu trotuarach, nie dowierzając oczom swoim. Coś bowiem podobnego nie dało się jeszcze widzieć dotąd, ani zrozumieć tego obcym i niewtajemniczonym osobom możebnym było!

Pogrzeb bowiem na pierwszy rzut oka zapowiadał się bardzo uroczyście i wspaniale, sądząc po kroczących na czele licznych delegacjach z olbrzymimi wieńcami przeważnie z kwiatów polnych, lecz także i z najkosztowniejszych plonów oranżeryj miejscowych i stołecznych. Za nimi postępowała skromna muzyka „kolejarzy“, grając poważnie Szopenowskiego marsza żałobnego. Dalej... uszeregowana młodzież: wychowankowie Internatu Kresowego, dość mizerni i ubogo odziani; lecz w oczach wielu z nich szkiły się lzy nietajomego wzruszenia.

To chyba jakiś wielki bogacz? — myślano. — Lecz nie! Toć dalej kondukt przedstawiał się inaczej wcale. Skromny do ostatnich niebywałych granic. Prowadziło go 2-ch kapłanów, z których jeden miejscowy, powszechnie znany ze swej pięknej i poważnej powierzchowności, drugi zaś widocznie przyjezdny, siwowłosy kapłan, jako asystent tylko w komży, spod której ukazywały się szaty cechujące ks. kanonika z dalekich Kresów Wschodnich.\*)

Za nimi zaś postępował karawan zaprzągnięty w jednego tylko konia (rzecz w ogóle w tym mieście nie praktykowana!), najskromniejszy, jaki tylko być może, i najuboższa możliwie trumna... bez kwiatów i wieńców!

W niej jednak spoczywał widocznie jakiś niepospolity mocarz ducha i serca, jeśli tak spontaniczny odruch czci wywoływał nie tylko u tych, którzy towarzyszyli mu w ostatniej ziemskiej wędrówce, lecz i u obojętnych i ciekawych widzów. Na ten przedziwny widok odkrywali oni głowy i schylali je ze czcią, jakby przeczuwając, że to coś niezwykłego, przechodzącego zwykłą miarę godności i powagi. Za trumną, oprócz pogrązo-

\*) Ks. kanonik Żołądkowski, dawniejszy proboszcz bazyliki mińskiej.

nej w żałobie rodziny, zauważyć można było wielu ziemian z Kresów i nawet przedstawicieli sfer rządzących z Warszawy, oraz moc skupionych i smutnych widocznie przyjaciół zmarłego.

Chowano tak wspaniale i serdecznie spontanicznym odruchem społeczeństwa, a tak ubogo z wyraźnej woli wyrażonej w testamencie zmarłego, byłego magnata kresowego z zabranych przez Bolszewików obszarów polskiej ziemi, który przed kilku dniami zakończył tu swe zasłużone życie w upokorzeniu i niedostatku... Edwarda Woy-niłłowicza.

Wielki to był rzeczywiście Polak i katolik, czynny do ostatniej chwili działacz społeczny, a najpokorniejszy sługa Boży, który spełniał zawsze wolę Jego bez szemrania, mając na ustach jedną tylko na wszystkie cierpienia moralne i klęski materialne odpowiedź: „Bóg tak chciał, Bóg tak chce, niech Imię Jego będzie błogosławione, a stanie mi się według woli Jego.“

Wypił on do ostatniej kropli kielich goryczy życiowych, przecierpiał wszystkie krzyże najboleśniej, jakie Bóg zwykł wkładać na barki wybranych swoich. Szedł zaś tak uroczyście pośród grona tych, których ukochał, dla których żył, złożyć swe kości i prochy, chociaż na zachodnich

krańcach polskiej ziemi, lecz w obcym dla siebie mieście. Nie tam, gdzie od wielu wieków i licznych pokoleń legli jego przodkowie, oraz, niestety, szczyt jego boleści — legły i jego dzieci, ostatni spadkobiercy starego rodu.

Żywot jego choć pokrótce streszczony, podług jego własnych wspomnień, opowiadań najbliższej rodziny i świadectwa przyjaciół, niechaj będzie przykładem dla wielu, jak mają iść w parze: wielkość i pokora, miłość Boga i ludzi, umiowanie własnej najbliższej rodziny oraz spraw społecznych, ziemi ojczystej — kresowej Białorusi i... tej wymarzonej przez długie lata niewoli, zmartwychwstałej Polski. Niestety zawiodła go w końcu i ona, raniąc głęboko serce najwierniejszego swego syna, pozwalając oddać w ręce zachłannego wroga, Bolszewika, te wielkie połacie polskiej ziemi, dla idei której większą część swego pięknego życia sterał i poświęcił.

Nie dał się jednak nigdy złamać, choć ugiął się nieraz pod ciężarem zbyt bolesnych krzyży w ostatnich szczególnie latach, gdyż przewodniczyła mu zawsze gorejąca pochodnia wiary i miłości, z którymi kroczył niezmordowanie przez życie, przyświecając nimi innym i podnosząc ich na duchu.

## Wiek dziecinny i młodość \*)

Edward Woyniłłowicz urodził się w Ślepiance pod Mińskiem Litewskim, rodzinnym majątku swych dziadków po matce, Wańkowiczów, dnia 13 października 1847 r. Z tego też powodu dano mu na chrzcie św. imię dziadka Edward. Ojcem jego chrzestnym był powszechnie znany ówczesny marszałek szlachty (tj. przedstawiciel jej z wyboru) Leon Osztorp, człowiek niezmiernie wprawdzie bogaty, lecz przy tym rozrzutny i próżny. Przeciwnie zaś przezacni dziadkowie jego Wańkowiczowie otoczeni byli powszechnym szacunkiem i miłością tak współobywateli jak i ludu. Wybitną pod każdym względem postacią była jego babka, z domu Moniuszkówna, pochodząca z rodziny dawniej bardzo zamożnej i uzdolnionej, która wydała niestety wielu dziwaków, ale także i wielkich filantropów, a nawet geniuszy. Dość przypomnieć, że nasz wielki muzyk narodowy, twórca przepięknych oper i pieśni ludowych Stanisław Moniuszko był jej rodzonym bratankiem.

P. Michalina Wańkowiczowa połączyła w sobie wszystkie zalety i cnoty swego rodu. Była to

---

\*) Życiorys opracowany na podstawie „Wspomnień“ śp. E. W. i mów pogrzebowych jego współobywateli i przyjaciół.

osoba niepospolita pod każdym względem. Cała rodzina skupiała się koło niej i garnęła w trudnych i przełomowych chwilach życia osobistego i społecznego. Do ostatnich dni swego długiego żywota interesowała się gorąco wszystkim, co się na świecie działo. Była szczególnie wielką miłośniczką przyrody i umiała wpoić to zamięłowanie dzieciom swoim, których wychowała 13-ro z 17-tu, którymi Pan Bóg tę prawdziwą matronę polską obdarzył.

Wysoce kulturalna i patriotyczna atmosfera domu dziadków Wańkowiczów i przykład ich prawdziwie tradycyjno-chrześcijańskich cnót, miłości bliźniego i oddania sprawom społecznym, nie pozostały bez wywarcia głębokiego wpływu na ukształtowanie duszy młodego Edwarda. Tym bardziej, że i jego ukochana i zacna matka Anna była także całkowicie tradycją domu rodzinnego przejęta. Odbiło się to także na wrażliwych i szlachetnych duszach 4 siostr: Michaliny (marsz. Horwattowej), Marii (Bielskiej), Jadwigi (Kostrowickiej) i Gabrieli (Mogilnickiej), z którymi do końca życia łączył go najpiękniejszy i najczulszy stosunek braterski.

Jedną z nich wprowadzie, Gabrielę Mogilnicką, stracił jeszcze w r. 1878, lecz córkę jej otaczał

zawsze swą najczulszą miłością i opieką, gdy została sierotą w latach jeszcze dziecińczych.

W kilka tygodni po urodzeniu odwieźli już rodzice swego pierworodnego syna do rodzinnego majątku Sawicze w Słuczczyźnie. Ponieważ w owych czasach jeszcze połączenia kolejowe były na Białorusi (pod zaborem rosyjskim) nieznane, lub bardzo rzadkie, przestrzeń 18 mil, mniej więcej 145 km, pomiędzy obu majątkami musiała się odbywać końmi w obszernej, specjalnie do takich dalekich zimowych podróży przystosowanej karecie. Jednakże chłopak omal nie przypłacił życiem tej podróży w ciężkie mrozy, gdyż zaraz na wstępie w progi ojcowskie zachorował na ciężką szkarlatynę, z której tylko cudem starań i troskliwości rodziców wyszedł szczęśliwie.

Było to wyraźnym zrządzeniem Bożym, by się wychował na pociechę rodziców i wzór do naśladowania dla całego polskiego i katolickiego społeczeństwa, chociaż właściwie w życiu osobistym miał znieść wiele ciężkich trosk i bolesnych krzyżów.

Tradycja domu rodzinnego w Sawiczach, atmosfera, jaka go tam otaczała, wśród której z siostrami wyrósł i wychował się, wywarła na jego duszy i usposobieniu niezatarty wpływ. Jako

stary, 70-letni człowiek z widocznym rozrzewnieniem i miłością wspomina w swym pamiętniku ten dom rodzicielski, postacie tak ojca i matki jak i dziadków, krewnych oraz starych sług i nauczycieli, którzy urabiali jego charakter.

Nie miejsce w tym krótkim życiorysie opisywać koligacji rodzinnych oraz spraw majątkowych rodziny Woyniłłowiczów, to jedno tylko warto zanotować, co podkreśla sam p. Edward, że „na dziedzictwie naszym żadna krzywda ludzka, żadna łza nie zaciężyła; moja tylko jedna chyba na nie padnie“. Wiedzieć jednak należy, że był to ród miejscowy białoruski, którego początki sięgają połowy XVI wieku. Byli oni początkowo obrządku wschodniego, potem już, prawdopodobnie w XVII wieku, sądząc z łacińskiego brzmienia imion chrzestnych, przystąpili do obrządku rzymskiego, tak jak i wszystkie inne ówczesne rody białoruskie.

Śladem wpływów obrządku wschodniego, pospolicie „unią“ zwanego, była kapliczka unicka stojąca przy samym parku w Sawiczach. Później została ona oddana przez rząd rosyjski do użytku prawosławnych po przymusowym skasowaniu unii. Jej to dzwony zwiastowały sawiczowskiemu dworowi doroczne święta; na rezurekcję strzelano

tam radośnie z moździerzy, które spoczywały w ciągu roku w wielkiej pałacowej sieni. Przy dźwięku jej dzwonów wnoszono dziedziców na miejsce wiecznego spoczynku. Trzeba jednak wiedzieć, że ta mała t. zw. „cerkiewka“ unicka, jako też i filialna kaplica w sąsiednim Puzowie, miały przywileje papieskie i Woyniłłowiczowie utrzymywali zawsze stosunki życzliwe a nawet przyjazne z miejscowymi parochami (unickimi księżmi grecko-katolickimi). Ojciec p. Edwarda opowiadał często, iż ilekroć wyjeżdżał do szkół do Słucka, zawsze wstępował do odległej o 1/2 km za parkiem plebanii po błogosławieństwo miejscowego parocha i... po pierniczki na drogę.

Ostatni paroch, ks. Sawicz, został zesłany przez rząd rosyjski do klasztoru w Żyrowicach po skasowaniu Unii.

Podczas świąt uroczystych i Bożego Ciała procesja z kaplicy wychodziła do parku, gdzie przystrajano dla niej ołtarze. Dziedzice, chociaż obrządku rzymsko-katolickiego, brali nieraz udział w nabożeństwach miejscowych, chrzcili czasem tam dzieci i śluby brali, a niektórzy nawet tam pod podłogą zostali pochowani. Od roku 1839, tj. od skasowania Unii i oddania kaplicy prawosławnym, musiał się też i ten stosunek zmienić i sąsiadująca

tuż za parkiem kapliczka stała się obcą dla dworu.

Z tych czasów dzieciństwa pozostały w pamięci p. Edwarda: wojna krymska w r. 1854 i przemiana społeczna jak uwłaszczenie włościan ukazem carskim. Pierwsza upamiętniła się głównie akcją charytatywną rodziców względem przymusowej branki rekruta. Niejednego bowiem z poborowych chłopaków wiejskich zacna p. Woyniłłowiczowa, matka, ukrywała zamkniętego w szafie lub w garderobie, ku wielkiemu zdziwieniu dzieci. Zniesienie zaś pańszczyzny utrwaliło się w jego wspomnieniu tym, że zebranych wszystkich ludziami dworskim odczytał rosyjski urzędnik, t. zw. „pośrednik“, ukaz, zwalniający ich od wszelkiej przymusowej pracy. Pomimo tego nikt ze służby nie rzucił swych chlebobawców i spełnianych dotąd obowiązków. Każdy poszedł do swej roboty, jakby nic się nie zmieniło. Ułożyły się tylko inne warunki pracy i zarobków, lecz dawniejsi ludzie zostali prawie wszyscy dobrowolnie na swych stanowiskach. Wielu z nich do końca życia tam pozostało, a dzieci ich i wnukowie w dalszym ciągu służyli wiernie swemu dziedzicowi, dopóki druga katastrofa dziejowa nie pozbawiła go ojcowizny. Pokazuje to, jaki stosunek panował między nim a pracownikami, widocznie żadna krzywda

się im nie działa; umiał on przywiązać ich do siebie sprawiedliwością i miłością bliźniego.

Trzeba było tylko piekielnej iście przewrotności i wpływów bolszewickich, żeby zapominając o dobrodziejstwach lud tamtejszy zapalał nienawiścią, siał pożogę i zniszczenie tam, skąd płynęła dla niego ojcowska iście opieka i dobra rada. W świat daleki lud wygnał swego dobrego i sprawiedliwego chlebobawcę — jak to w dalszym ciągu zobaczymy. Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć o skutkach przeprowadzonego w latach 1862—63 przymusowego uwłaszczenia włościan. Obliczonym ono było przede wszystkim nie tyle na korzyść niby pokrzywdzonego przez „panów“ ludu, ile dla zrujnowania i przygnębienia szlachty polskiej, w której widziano niechętnie skoncentrowany i zawsze burzliwy element. Nie okazało się jednak ono tak zgubnym dla wielkich, przeważnie zadłużonych latyfundiów, jak się to wydawać mogło. Gdyby nie stała nieżyczliwość rządu dla elementu polskiego i niecelowe podniecanie ludności białoruskiej prawosławnej przeciw niemu, co przyjęło nawet wkrótce zabarwienie socjalistyczne, sprawa agrarna przesłaby tam zupełnie spokojnie i po-  
łubownie. Likwidacja większej własności prze-  
byłaby łagodne i normalne fazy, wzorem Zachodu, bez pogwałcenia praw własności i wzbudzenia

nienawiści klasowej. Kontyngent drobnych właścicieli powiększyłby się sam przez się, bez łamania praw Boskich i ludzkich, uspołeczniając tym samym mieszkańców kraju w duchu chrześcijańskim. Niestety jednak nienawistne poddmuchy wschodu potrafiły już wówczas zasiać tam ferment i rozgoryczenie.

Nawiązując do wyżej wspomnianych wypadków mówi p. Woyniłłowicz w swych „Pamiętnikach”: „Albowiem własność powstała przez zabiegi, pracę, oszczędność — uszlachetnia człowieka, dodaje bodźca osobistej inicjatywie, wówczas, gdy własność nabyta przemocą nad cudzym dobrem demoralizuje, odbiera chęć do pracy i każe szukać poprawy bytu nie w pracy osobistej, a w posiadaniu cudzego mienia.“ (Pamiętnik E. W. str. 15.) Zaznaczyć przy tym można, że wielu szlachetnie i ofiarnie usposobionych większych właścicieli ziemskich tak na Rusi jak i na Litwie (m. in. jako jeden z pierwszych gub. marszałek szlachty z wyborów w Kowieńszczyźnie, Karol Bystram) dobrowolnym układem z okolicznymi włościanami uwłaszczyli ich, t. j. darowali im na własność zamieszkałe wsie i uprawiane przez nich ziemie dworskie, jeszcze przed ogłoszeniem ukazu cesarskiego. Powodowali się oni przy tym względami

obowiązku obywatelskiego i chrześcijańskiej miłości bliźniego.

## Szkoły i uniwersytet.

Pierwsze nauki pobierał Edward w domu wraz z rodzeństwem, zwyczajem przyjętym na kresach wschodnich w języku polskim i francuskim, pod kierunkiem nauczycielek, a później korepetytorów. W r. 1861 oddali rodzice 13-letniego Edwarda do IV-tej klasy gimnazjum w Słucku. Wyszedł z niego po 4-ch latach, po złożeniu egzaminu dojrzałości ze srebrnym medalem. Mieszkał wówczas na stancji u swych bardzo zacnych stryjostwa Tadeuszostwa W., bezdzietnych, którzy tym bardziej otaczali bratanka najserdeczniejszą opieką i gorącym sercem.

Gimnazjum słuckie było niestety oddane pod kierownictwo kalwinów, jako fundacja Radziwiłłowska (z linii dyssydenckiej). Miało ono jednak opinię najlepszego w owych czasach i słynęło ze swego patriotycznego nastawienia. Wyrazem najlepszym tego było, iż, gdy wybuchło powstanie 1863 r., część nauczycieli wraz z uczniami wzięła w nim udział. Z tego jednak powodu rząd rosyjski objął sam kierownictwo gimnazjum, nauczycieli rozpuścił a przysłał swoich z głębi Rosji.

Zmiana programu i wykładów była znamioną, gdyż gdy w klasie IV-tej jeszcze np. wykładano język polski i religii uczono w języku rodzinnym, 3 lata potem katechizm wykładano już po rosyjsku i w tymże języku musiał Edward zdawać egzamin ostateczny.

Jak widzimy, na te lata gimnazjalne przypadają wydarzenia, które wstrząsnęły całym krajem i odbiły się szerokim echem w duszach jak zawsze patriotycznie nastrojonej i wrażliwej młodzieży. Gimnazjaści nawet zaczęli demonstracyjnie objawiać na zewnątrz swe aspiracje narodowe. W Słucku, gdzie było ich około 300, odrywali się oni także bardzo często od swoich obowiązków dla rozmaitych ekscesów, tak w kościele jak i poza nim, np. dla wyprężenia koni i ciągnięcia ostentacyjnie przez całe miasto powozu z prałatem białobrzeskim, którego Moskale wywozili w głąb Rosji. Demonstracyjnie nosili oni także szpilki z orzełkiem w krawacie i spinki z fotografiami ulubionych bohaterów powstań uprzednich. Czytywano nocami „Strażnicę“ i fabrykowano prze-myślnie a potajemnie jakieś krwiożercze puginały i piki. Kobiety wywierały też wówczas wielki wpływ na podniesienie patriotycznego ducha, intonując po kościołach srogo wzbronioną pieśń

„Boże, coś Polskę“, przemycaly broń, literaturę nielegalną, przechowywały i wykrażały nawet z więzień nieszczęśliwych, prześladowanych powstańców, wśród których byli przeważnie ich ojcowie, narzeczeni, bracia i często... nieletni synowie.

Jak bardzo te hasła odbiły się także i na stosunkach w domu Woyniłłowiczów, dość powiedzieć, iż przezacna matka Edwarda namawiała go sama, aby, gdy przyjdzie odpowiednia chwila i potrzeba, stanął w szeregach obrońców wolności Ojczyzny. Na szczęście, gdy przybył do Sawicz mały oddział powstańców, do którychyby się był niezawodnie przyłączył, z błogosławieństwem obojga rodziców, nie było go przypadkowo w domu. Oddział ten bowiem źle uzbrojony i nieprzygotowany do walki został w kilka dni potem rozбитý, komendant Maszewski zabity a główni oficerowie ranni i wzięci do niewoli. To się odbiło jednak także i na losach dziedziców Sawicza, gdyż rodzice Edwarda, zdradzeni przez jednego z oficjalistów, zostali także aresztowani i przewiezieni do Słucka, a majątek do czasu zasekwestrowany.

Wówczas to młodziutki Edward, będący na wakacjach w domu, pozostał sam na gospodarstwie w tak smutnych i trudnych okolicznościach. Mu-

siał dawać sobie radę nie tylko z kłopotami codziennego życia, lecz także walczyć nieustannie z rozmaitymi pijanymi urzędnikami, kozakami a nawet okolicznymi chłopami, którzy w całym domu czynili niby poszukiwania za bronią, a właściwie za pieniędzmi i kosztownościami. Przy tym naturalnie w najbardziej niekulturalny sposób zachowywała się ta zgraja w pokojach i salonach pałacowych. Na szczęście za staraniem i wpływem stryja Tadeusza, ówczesnego marszałka szlachty, sekwestr został zdjęty po kilku dniach.

Te przejścia jednak miały decydujący wpływ na dalsze wychowanie Edwarda i nawet na całe jego dalsze życie. Sam przyznaje w swych „Pamiętnikach“, że w pamiętnej chwili sekwestru dojrzał nagle, zrozumiał, że z chłopaka, mogącego liczyć na dostatnią szlachecką schedę, mógł znaleźć się nagle w położeniu człowieka bez dachu i wówczas to już postanowił przygotować się do walki życiowej w taki sposób, aby własnymi siłami móc dać sobie radę w świecie. Postanowił też wówczas po skończeniu nauk gimnazjalnych wybrać jakiś zakład specjalny, dający w rękę fach, nie licząc na fortunę i pomoc rodzicielską.

W końcu więc wakacyj 1865 r. udał się młody Edward do Petersburga i zapisał się do Instytutu

Technologicznego, mając zaledwie 17 lat. Był to wówczas wyższy zakład naukowy o podkładzie ultra-demokratycznym. Ówczesny minister finansów, główny jego założyciel i kierownik, dążył do tego, aby wychowankowie nie liczyli, jak młodzież ówczesna, na pewne protekcje i przywileje państwowe. Przeciwnie, wskazywał im drogę pracy uszlachetniającej i kulturalnej w zakresie przemysłu krajowego. To też młodzież usposobiona demokratycznie i owiana szlachetnymi dążeniami pracy i postępu cisnęła się do tego instytutu. Niestety było to także powodem, że wszelkie ówczesne wypadki i wstrząśnienia polityczne stamtąd brały swój początek lub odbijały się w smutny sposób na przyszłości studentów. Edward jednak wychowany w innych tradycjach rodzinnych i szlacheckich nie mógł pogodzić się bez poważnych zastrzeżeń z tymi nowymi zasadami i jaskrawymi ideami. Skorzystał tylko z tych stosunków o tyle, że nauczył się, jak mówi (patrz „Pamiętniki”) „wszystkich ludzi uważać za równych sobie tak przed prawem jak są nim przed Bogiem“. Nie stracił też nigdy wiary ojców swoich i nie uległ wpływom wolnomyślnym a nawet ateuszowskiem, którymi już ówczesna młodzież licznie była zarażona. Mało otrzymując pieniędzy z domu na

zbytki, musiał bardzo ograniczać swoje studenckie wydatki, rzadko bywając nawet na znanej ze swej dobroci operze. Towarzystwo udzielał się bardzo mało, bywając tylko w kilku zaprzyjaźnionych z rodzicami domach polskich. Pracował także bardzo usilnie, gdyż oprócz wykładów studenci mieli obowiązkowe ćwiczenia praktyczne. Mechanicy, do których Edward się zaliczał, pracowali gorliwie w warsztatach stolarskich, kowalskich, odlewniach itp. Studenci Polacy trzymali się przy tym razem, mieszkając całymi koloniami, stołując się w polskich patriotycznych domach, a na zebraniach dysputowano zawzięcie nad przywidywanymi przewrotami społecznymi, a naturalnie przede wszystkim odbudowywano w przyszłości Ojczyznę.

W r. 1869 Edward ukończył instytut jako jeden z pierwszych i otrzymał zaraz posadę w Pułławskiej fabryce szyn, pancerzy okrętowych itp., już za pewnym, chociaż bardzo skromnym wynagrodzeniem, z czego czuł się bardzo dumny. Ciężką i odpowiedzialną miał tam pracę, z dyżurami nocnymi. Młodość, wytrzymałość i energia dodawały mu siły. Pozostałby tam dłużej, gdyby nie życzenie rodziców, aby udał się za granicę dla dalszego kształcenia. Wyjechał do Niemiec i wstą-

pił jako prosty robotnik, dla praktyki, do fabryki lokomotyw na jednym z przedmieść Hannoweru. Tam przebywał do końca prawie 1870 roku. Z powodu wybuchu wojny niemiecko-francuskiej rodzice jego, obawiając się o los i życie jedynaka, kazali mu wyjechać do Belgii, jako do kraju neutralnego. W Liège uzyskawszy pozwolenie towarzyszenia maszyniście na lokomotywach, z budową których dokładnie zaznajomił się w Hannowerze, zwiedził liczne malownicze drogi pomiędzy Brukselą a Akwizgranem. Następnie jeszcze pracował w warsztatach remontowych w państwowych zakładach w Malines, specjalizując się w dalszym ciągu w tym kierunku.

Wezwano go atoli niebawem do domu. Ojciec bowiem, chociażłożył chętnie na fachowe wykształcenie syna, pragnął go jednak widzieć pracującego na roli za przykładem przodków swoich. Pewne względy i okoliczności rodzinne pozwoliły narazie młodzieńcowi pracującemu do niedawna jeszcze w bluzie roboczej poznać szeroki świat i zabawić się trochę. Wyjechał znów za granicę, lecz dla towarzystwa stryjostwa Lucjanostwa W., ludzi bardzo zacnych i bezdziетnych, którzy upodobawszy sobie bratanka zapisali mu część swego majątku, mianowicie Puzów, leżący w pobliżu

Sawicz. Spędzili więc dłuższy czas, zwiedzając najpiękniejsze stolice i miejsca kuracyjne w Europie. Z pobytu swego w Rzymie wspomina p. Edward otrzymaną z wielkim trudem w owych czasach audiencję u Ojca św. Piusa IX i uczestnictwo we Mszy św. papieskiej w kaplicy sykstyńskiej. Marzył potem do końca życia, by choć raz jeszcze odwiedzić Rzym i stanąć wśród ruin Colosseum przed śmiercią. Lecz nie powtórzyło się to już nigdy, niestety. Po podróży dla przyjemności, za wolą rodziców, powrócił do Paryża, gdzie w Sorbonnie i w Collège de France studiował jeszcze ekonomię polityczną dla wykończenia ogólnego wykształcenia. Wkrótce też wola rodziców ściągnęła go znowu do kraju, by przed objęciem obowiązków ziemianina odbył tam praktykę agromoniczną. Wstąpił więc w r. 1872 do Akademii Rolniczej w Pruszkowie na Śląsku Opolskim. Koledzy tamtejsi pochodzili przeważnie z Poznańskiego i Prus Zachodnich. On jedyny z nich posiadał studia zagraniczne. Była to przeważnie młodzież sposobiąca się na przyszłych właścicieli ziemskich lub administratorów. Dużo tam było Niemców, lecz Polacy trzymali się od nich z daleka, posiadali swoje Kółka i Związki „Bratniej Pomocy“ i „Samokształcenia“. Przy tym młodzież myślała także o uspołecznieniu ludu. Edward

wyjeżdżał do okolicznych wsi z odczytami w „kółkach rolniczych“. Lud miejscowy wówczas rozumiał dobrze swoją odrębność narodową, chociaż tak oni jak i duchowieństwo miejscowe mówili niepoprawnie po polsku. W Opolu jednak można było znaleźć i książki polskie i uczestniczyć w polskich nabożeństwach w kościele.

Po skończonym semestrze, otrzymawszy świadectwo akademii oraz dyplom honorowy członka instytucji polskich w Pruszkowie, p. Edward odbył jeszcze praktykę rolniczą w Mochlu pod Bydgoszczą, pracując tam jak zawsze bardzo czynnie i gorliwie, spełniając doskonale uciążliwe obowiązki praktykanta i wchodząc bliżej we wzajemne stosunki pracodawcy do robotnika.

### Ziemianin-społecznik.

W jesieni 1872 r. powraca wreszcie p. Edward z praktyki na stałe do domu. Ojciec jego, zapadający coraz bardziej na dziedziczną chorobę nóg, zmarł nagle w r. 1874. Pochowanym został podług wyrażonego w testamencie życzenia w wielkim kurhanie przedhistorycznym na polach majątku Sawicze. Nie przeczuwał wtedy młody, pełen życia i nadziei 27-letni syn jego, że w kilkanaście

lat potem w tymże samym kurhanie spoczną także ostatnie latorośle i spadkobiercy jego zacnego rodu.

Jeszcze za życia ojca oprócz gorliwej i umiejętnej pracy na roli wtajemniczał się p. Edward w pracę społeczną pod jego światłym i czynnym kierunkiem. Leżało to już w tradycjach tak okolicznego ziemiaństwa jak też i chłopstwa, że dziedzic sawicki rozstrzygał zawile sprawy sporne, działy rodzinne itp. Gdy „starszy Pan“ zachorował, zaczął się często w tych sprawach wyręczać synem. Po jego zaś śmierci przeszło to jakby w spadku na p. Edwarda. W końcu utarło się to tak dalece, że rzadko się cośkolwiek bardziej skomplikowanego postanawiało w sąsiedztwie bez jego rady i współpracy. Dowodem wielkiego miru i zaufania, jakie posiadał u współobywateli, jest np. to, że powierzono mu opiekę nad ordynacją nieświeżką ks. Radziwiłłów, pozostałą chwilowo bez swych prawych dziedziców.

Rząd rosyjski, ceniąc w nim także wielką sumienność i prawość w spełnianiu obowiązków, wciągnął go w szereg komisyj do spraw ziemiańskich i chłopskich. Oddał się tym wielorakim pracom z tak całkowitym przejęciem, że zapominając

o swych prawach do życia przy tak wielkiej fortunie, raz tylko jeden pozwolił sobie na wyjazd za granicę, na Wystawę Powszechną w r. 1878, którą, do tego, z wielkiego przemęczenia przechował. Następnie już przez z górą 30 lat w żadną dalszą podróż się nie ruszał, poświęcając się tylko swym szlachetnym obowiązkom.

W 35-tym roku życia pojął za żonę p. Olimpię Uzłowską, jedyną córkę swych zacnych sąsiadów, obdarzoną wielką urodą jako też i niepowszedniami zaletami ducha i serca, która umiała stanąć u jego boku jako wierna towarzyszka doli i niedoli, radości jego i gorących łez, podtrzymując go w ciężkich chwilach próby i bolesnych krzyży tak w ziemi ojczystej jak i na wygnaniu.

W krótkim czasie potem objął także na życzenie teściów zarząd gospodarstwa ich rodowego majątku Borki. Zdwoiły się więc tym samym jego obowiązki. Majątek ten bowiem był bardzo opuszczony i zniszczony przez szereg dzierżawców. Trzeba było wszystko od „a“ do „z“ odbudowywać, naprawiać i przyprowadzić wydajność gleby do porządku. P. Edward włożył tam także moc wytrwałej i wydajnej pracy, energii i własnego kapitału. Niestety, wszystko to poszło potem na

marne i przepadło także w zawierusze wojennej i bolszewickiej.

Ta intensywna praca na glebie ojczystej, dla utrzymania dobrobytu rodziny i powierzonych jego sumieniu i odpowiedzialności pracowników rolnych, dla których był zarazem najlepszym ojcem i przyjacielem, nie przeszkodziła mu w szerszej działalności społecznej. Przeciwnie, zetknięcie się nieuniknione z ówczesnymi władzami i wyjątkowymi prawami, które po nieszczęsnym powstaniu 1863 roku dotknęły ziemie wschodnie, obudziły w nim pragnienie, aby w każdy możliwy sposób dopomóc współrodakom w przetrwaniu na własnym szmacie ziemi, bez uniżania się i upadlania przed zaborcą.

Wymagało to rzeczywiście szczególnych cech charakteru, którym tylko tak niepośledni umysł i wielkie serce Woyniłłowicza sprostać mogło.

Szlachta bowiem ówczesna została usunięta przymusowo od wszelkiego udziału w życiu społecznym. Zwróciła się więc tym usilniej do pracy na roli i w zawodach niezależnych, okazując swą wielką tężyznę duchową i siły żywotne starannie przechowane w tradycjach polskiej kultury. Wskutek tego nawet zaczął podnosić się i dobrobyt, gdyż każdy starał się utrzymać wszelkimi siłami

na ojcowiznie, tym bardziej, gdy ukaz carski wzbronil katolikom nabywac ziemie. Kazde wyzbycie sie jej grozilo wiec wynarodowieniem, gdyz przechodzila ona bezpowrotnie w rece zachlanego i prześladowczego państwowego prawosławia. Rzeczą pewną jest, że w takich wypadkach, gdy niejeden sąsiad bliższy czy dalszy ziemianin był bliskim załamania duchowego, gdy położenie jego zdawało się bez wyjścia, a dziedzictwu groziło już przejście w ręce wroga, Woyniłłowicz, służąc nie tylko dobrą radą i słowem, sięgał także i do kasy osobistej. W ten sposób wyratował on niejeden szmat polskiej ziemi od zaprzepaszczenia. Jednakże społeczeństwo, skazane na to szare życie tylko ex re chleba powszedniego, zaczęło poddawać się pewnemu przygnębieniu i apatii.

Wówczas to prawdziwym ocknięciem się z przymusowego letargu było utworzenie „Towarzystwa Rolniczego w Mińsku“.

Coprawda nie stało się to za inicjatywą Woyniłłowicza, ani nawet z woli społeczeństwa polskiego. Przeciwnie. Założycielem był ówczesny minister spraw wewnętrznych, Moskał Makow, właściciel skonfiskowanych Polakom majątków. Cel jego był też początkowo wręcz przeciwny ich dobru i normalnemu rozwojowi ich interesów i polskości

w ogóle. Miało ono zjednoczyć przede wszystkim nowoprzybyłych z głębi Rosji obywateli, nowych właścicieli dawniejszych polskich majątków, by wyprzeć do reszty i zrujnować zasiedziały tam od wieków element polski. Z woli Bożej i przedziwnym zrządzeniem Opatrzności, a dzięki taktowi i rozumowi takich obywateli jak Woyniłłowicz i W. Świda i kilku innych, w dwa lata po otwarciu owo towarzystwo zmieniło zupełnie swoje oblicze. To, co było stworzonym na zgubę naszej Wiary św. i Ojczyzny, stało się jakoby centralą rozbudzenia społecznego i podtrzymaniem jego najwznioślejszych idei.

Wskutek umiejętnie i rozmyślnie uczynionego pewnego opuszczenia w przedrukowaniu obowiązujących paragrafów do towarzystwa zaczęli zapisywać się coraz liczniej prawdziwi autochtoni białoruskiej ziemi, a nienawistne mundury, które tam dotąd rządziły i panoszyły się, musiały wkrótce im ustąpić. Dość przytoczyć, że gdy w r. 1878 było polskich i katolickich członków zaledwie 64, w 25 lat potem towarzystwo liczyło ich już 675! Odtąd Towarzystwo Rolnicze Mińskie stało się ukochanym i najrozleglejszym polem pracy społecznej Woyniłłowicza. Pozostawało ono pod jego wszechwładnym wpływem, szczególnie zaś odkąd w roku 1888 powołano go na jego wiceprezesa

(a faktycznie prezesa), stało się ono szkołą życia publicznego i doskonalenia się w zawodzie rolniczym całego pokolenia najzacniejszych obywateli tego kraju, prawdziwych najprzykładniejszych Polaków i katolików.

Stamtąd też to Towarzystwo Rolnicze promieniowało i na inne gubernie nie tylko historycznej Litwy ale i Kongresówki. Bezsprzecznie całą zasługę tej przemiany z instytucji zaborczej i wrogiej na tak wydatnie polską placówkę przypisać trzeba Edwardowi Woyniłłowiczowi, który aż do smutnych wypadków powojennych pracował niezmiennie nad jej rozwojem. Wskutek licznych zebrań towarzystwa i spowodowanych tym zjazdów ziemiaństwa z najdalszych stron ziem polskich Mińsk przybierał charakter wybitnie polski. Na posiedzeniach w dużej sali towarzystwa wybijała się rasowa postać jego prezesa, charakterystyczna jego twarz o pięknych i rozumnych oczach i długich spuszczonej wąsach, jakby żywcem wycięta ze starego portretu.

Postać ta była rzeczywiście „kontuszowa“, brakło jej tylko tego staropolskiego stroju. Niemniej wśród licznie zebranej szlachty i obywatelstwa sprawiał on wrażenie niezwykle, jakoby hetmana czy wojewody, przewodniczącego sejmikowi „panów braci“.

Istotnie wodzem moralnym i hetmanem ducha tych przygnębionych knutem Moskala „braci Polaków“ i prześladowanych najwierniejszych synów Kościoła katolickiego na kresach był p. Edward. Wielkie jego zalety towarzyskie, szybkie orientowanie się w sprawach zawodowych i społecznych, oraz nadzwyczajny takt, ułatwiały mu sprawowanie rządów quasi dyktatorskich w tamtejszym społeczeństwie. W niezwykle i sobie tylko właściwy sposób umiał on omijać niebezpieczne rafy nieporozumień, rozbrajać zapalczywych oponentów i w końcu przeprowadzał zawsze te projekty, które uważał za słuszne.

Prócz Towarzystwa Rolniczego p. Edward pracował jeszcze i w innych poważnych instytucjach polskich, które sam przeważnie założył. Były to zawsze kulturalne placówki polskości. Przez 35 lat był sędzią honorowym powiatu słuckiego. W ciągu tego czasu nie opuścił żadnej sesji sądowej, chyba, że tłómaczyła go choroba lub jaka inna bardzo ważna przyczyna. Chociaż nie był prawnikiem zawodowym, lecz posiadał takie wrodzone poczucie sprawiedliwości i prawa, że na jego sądzie i biegłości w odnośnych paragrafach polegano z pełnym zaufaniem i na podstawie jego zdania rozstrzygano najzawilsze sprawy. Szczególnie biegłym był w nieporozumieniach granicz-

nych, w rozsądzaniu których miano do niego bezwzględne zaufanie. Zastępował nawet nieraz członków Sądu Okręgowego w sprawach kryminalnych podczas kadencji wyjazdowych na prowincję. Staraniem prezesa Towarzystwa Rolniczego w Mińsku pomimo wielkich trudności ze strony rządu powstało w jego obrębie własne Tow. Ubezpieczeń Rolnych, oparte na zasadach wzajemności.

Rozpoczęło ono swoją działalność w r. 1901, do czego musiał się p. Edward przyczynić osobiście, składając żadaną kaucję w sumie 50.000 rs. Naturalnie też został wybranym na prezesa rady nadzorczej tego pożytecznego towarzystwa. W dalszym ciągu na drodze zrzesseń i zbiorowej pracy społecznej Towarzystwo Rolnicze z inicjatywy swego dzielnego i rzutkiego prezesa wybudowało w Mińsku pierwszą chrześcijańską Rzeźnię miejską.

Celem i myślą przewodnią tego przedsięwzięcia było wyzwolenie handlu mięsnego z rąk spekulantów żydowskich. Wydzierżawiono dla własnej eksploatacji miejscową rzeźnię i targowiska. Przedsiębiorstwo to pod firmą Towarzystwa Rolniczego pozostawało pod jego ścisłą kontrolą przez blisko 10 lat. Starano się także oddać han-

del mięsem w uczciwe, chrześcijańskie ręce, odsuwając od niego żydów i krępując wyzysk handlarzy przez poważną konkurencję. Przy tej rzeźni wprowadzono także suszenie warzyw, kartofli, kapusty itp. konserw, wykorzystując ciepło wypotrzebowane przy manipulacjach rzeźniczych. Przy tym zaznaczyć trzeba, że takie i wiele innych podobnych przedsięwzięć zbiorowych inicjowanych przez kierownictwo Tow. Rolniczego miało zawsze na myśli nie tak korzyść materialną, jak dostarczanie stałej pracy i zarobku wielkiej ilości pracowników Polaków i katolików, pozbawionych z tego względu służby państwowej. To zaś przyczyniało się do ogólnej poprawy dobrobytu nawet niższych warstw społecznych.

Tak zaś z tych rozlicznych względów popularnym był wśród najszerszych mas społeczeństwa p. Woyniłłowicz, iż zaznaczyć wypada, że ogólnie znanym był pod nazwą „p. prezesa“ albo wprost nawet tylko „p. Edwarda“. Podobno wręczono mu kiedyś list adresowany tylko: „Słuck, p. Edward“. Nie wahano się nawet odnaleźć w nim adresata.

Prócz wyżej wspomnianych instytucyj poważną rolę grał także t. zw. Syndykat narzędzi rolniczych, jako składnica przy Tow. Rolniczym.

Ponieważ potrzebną była do jej otworzenia większa suma obrotowa, a z trudnością zebrano zaledwie 50.000 rs. z udziałów, musiał naturalnie p. Edward (tak go też będziemy nadal nazywali) dołożyć swoje 30.000 rs., które mu zaledwie po 20 latach zwrócono. Syndykat prowadził dostawy do intendentury, handel jęczmieniem browarnym, a także dostarczał na kredyt dobre i tanie maszyny rolnicze. Do r. 1914 syndykat ten rozwijał się wzorowo i tylko wypadki wojenne przerwały bieg jego pracy.

Pokrótkce też należy tu wspomnieć, że i w życiu politycznym odegrał on niepoślednią rolę, umiając pozyskać sobie miłość i zaufanie całego polskiego i białoruskiego społeczeństwa. Zarazem także niezwykła jego prawość i uczciwość poglądów ściągnęły mu całkowity szacunek i poważanie w sferach rządzących. Z tego powodu po r. 1905, który wprowadził w Rosji ustrój konstytucyjny, został on wybrany przez współziemian na członka Rady Państwa z gub. mińskiej, gdzie wysunął się zaraz na pierwszy plan. Pracował on tam zawsze na korzyść swych ziomków, oraz we wszystkich ogólnych komisjach Koła Polaków z Litwy i Rusi we wspólnych ich wystąpieniach. Zajmował też wybitne stanowisko w samej Radzie Państwa, szczególnie w komisjach: finansowej, naprawy

ustroju rolnego i w kwestii agrarnej. Ze zdaniem jego liczyli się najwybitniejsi politycy i przedstawiciele rządu. Ze względu na te niepospolite jego zalety umysłowe i gruntowną znajomość przedmiotu oraz daru ujmowania wszelkich zagadnień ze strony nie tylko praktycznej i rzeczowej, lecz też zawsze uczciwej i prostolinijnej, ofiarowano mu nawet stanowisko wiceministra rolnictwa po rozwiązaniu 1-szej Dumy (naszego „Sejmu“), lecz ze zwykłym sobie taktem i skromnością tego zaszczytu nie przyjął.

Wyrobił się jednak wówczas rzeczywiście na prawdziwego męża stanu. W Słuczczyźnie pracuje także bardzo korzystnie dla miejscowego społeczeństwa jako „radca ziemstwa“ gubernialnego z wyborów, co posiadało tam wówczas b. wielkie znaczenie. Taki miał mir wśród okolicznych włościan, pomimo antypolskich tendencji, rozbudzanych wśród nich przez duchowieństwo prawosławne i administrację, że szli bezwzględnie zawsze za jego zdaniem. Stosunek bowiem jego do ludu był nawskroś ojcowski i patriarchalny. Traktował ich zawsze z niezmierną dobrocią i wyrozumiałością, odnosił się jak do równych sobie, iście po sąsiedzku opiekował się nimi, dopomagał, wchodził w ich potrzeby, interesował

się ich życiem, prowadził z nimi chętnie długie i szczere rozmowy, wzbudzając w ten sposób wielkie do siebie zaufanie. Wszędzie był też rzecznikiem ich potrzeb u władz, rozjemcą w ich rodzinnych zatargach, najwyższym nieraz autorytetem prywatnym tam, gdzie powinny były gdzieś indziej rozstrzygać sądy państwowe.

Był jednak zawsze tak skromnym, że większa część jego prawdziwie chrześcijańskiej działalności w imię zgody i pokoju — pominięta w jego „Pamiętnikach“ została. Pamięć o niej jednak zachowała się głęboko w sercach tych, których pocieszył, pogodził i którym nowe „modus vivendi“ nieraz ukazał.

## Dobroczyńca.

W najbliższym swym powiatowym mieście Sluck wspierał p. Edward hojnie wszystkie instytucje charytatywne jako prezes miejscowego Tow. Dobroczynności. Wszędzie przy tym służył on swą mądrą radą i pomocą moralną, gdyż jak zawsze musiał tu walczyć z zaborcami o każdą polską i katolicką duszę, wyrrywając ją z nędzy i głodu a oddając pod opiekę godnych siebie współpracowników i opiekunów. Przy tymże Tow. Do-

broczynności utworzył swym przeważnie kosztem i utrzymywał Bursę dla kilkudziesięciu nieza-  
możnej, uczącej się młodzieży. Początkowo byli  
to przeważnie synowie jego oficjalistów i mniej-  
szych dzierżawców, później naturalnie przyłączyli  
się do nich i inni chłopcy ze sfery drobnej szlachty  
i zamożniejszych chłopów. Internat ten pod  
czujną i serdeczną opieką moralną i materialną  
p. prezesa rozwijał się doskonale i jemu to za-  
wdzięcza wielu najszlachetniejszych dziś działaczy  
polskich z kresów swoje wychowanie, a przede  
wszystkim ugruntowanie w wierze ojców i miło-  
ści Ojczyzny. Iluż z nich życie poświęciło w ofie-  
rze, wstępując w szereg wojska polskiego i wal-  
cząc dla Ojczyzny. Rzeczywiście wiele ma ona do  
zawdzięczenia temu swemu wielkiemu synowi,  
który przez tak długi szereg lat pracował usilnie  
na wschodniej rubieży, podtrzymując tam jakoby  
znicz przynależności narodowościowej i religijnej.  
To też odrodzona Polska w uznaniu jego „zasług  
położonych na polu społecznym i narodowym  
w czasach niewoli“ odznaczyła go słusznie w roku  
1924 Komandorskim Krzyżem „Polonia Restituta“.  
Ze smutkiem jednak skonstatować trzeba, że ten  
wielki dobroczyńca i miłosierny chrześcijanin zna-  
lazł się sam niebawem w wielkich trudnościach  
materialnych i opuszczeniu w umiłowanej Ojczyź-

nie. Lecz takim jest zwykle, niestety, los „tych najlepszych“, których nagroda leży poza doczesnością.

Drugą bardzo poważną instytucją kosztem p. Edwarda całkowicie zbudowaną i urządzoną była Szkoła Handlowa, z której promieniowała nie tylko praktyczna nauka dla przyszłych obywateli. Stała się ona także, rzecz można, twierdzą myśli podniosłej i dobrych obyczajów.

Korzystając z t. zw. pierwszych lat wolnościowych, t. j. w r. 1906—1907, otworzył w majątku swej żony Borkach, we dworze opustoszałym po śmierci obojga jej rodziców, szkołę oświatową dla dziewczynek z ludu, z językiem wykładowym polskim, nauką religii i nabożeństwem 2 razy na tydzień w dworskiej kapliczce. Rozwijała się ona bardzo pomyślnie i była licznie uczęszczaną przez katolickie, a nawet i prawosławne dziewczęta. Niestety w kilka lat potem zaczęto się znów czeplić do tego rodzaju oświaty ludowej i wówczas zamieniono ją na t. zw. „szkołę gospodarczą“ dla dziewcząt dorosłych, tak spomiędzy rodzin oficjalistów jak i sąsiedniego ludu. Postawił tam p. Edward dobudówkę z nowoczesnymi urządzeniami gospodarczymi, mleczarskimi, kurnikami,

chlewami itp. We dworze zaś był internat, prowadzony w duchu polskim i katolickim, z nabożeństwami w kaplicy i pod kierownictwem odpowiednich tym zasadom wychowawczyń. Przetrwała ona nawet pierwszy rok wojny, a została zlikwidowaną w r. 1915 ze względów bezpieczeństwa wychowanek.

Trudno wyliczyć dokładnie wszystkie inne towarzystwa charytatywne, które wspierał p. Edward tak w samym Słucku jak i w gub. Mińsku. Nie lubił o tym wspominać sam i tylko ci, co byli świadkami jego pracy, sąd o tym wydać mogą. Nie ma tam jednak z pewnością ani jednej ochronki polskiej czy przytulku, które by nie powstały za jego inicjatywą, lub nie pozostawały pod jego materialną co najmniej opieką. Kieszeń jego i serce były otwarte bez wyjątku dla wszystkich, tak samo dla współobywatela znajdującego się w potrzebie jak i dla każdego sąsiada włościanina, bez różnicy narodowości czy religii. Był tylko chrześcijaninem z czynu, nie liczącym się z niczym innym jak ze swym sumieniem i obowiązkami nałożonymi mu przez Boga.

Pamiętał i w czyn wprowadzał tę zasadę, iż „komu więcej jest dano, od tego także i więcej się wymaga“. To też nikt nie odszedł od niego nie po-

cieszony, nie wzmocniony na duchu, nie wyświadany z tego co go boli i trwoży. Udawał się do Sawicz każdy, kto potrzebował rady czy obrony, a nie odjechał nikt stamtąd zawiedziony. Jego cicha kancelaria była świadkiem długich poufnych rozmów, konfesjonałem, można powiedzieć, niejednej ciężkiej spowiedzi, a zawsze portem zbawienym dla tych, co się tam z ufnością udali.

Pomimo nawet najcięższych przejść osobistych i licznych krzyży, nieszczęść i przeciwności, którymi go Pan Bóg obdarzył, nie zszedł nigdy ze swego posterunku, pozostał tam dla innych, zdominując o sobie. Wytrwał niezłomnie na straży dóbr duchowych narodu na kresach polskiej ziemi, jako rycerz Chrystusowy i czynny głosiciel idei chrześcijańskiej i miłości bliźniego.

## Fundator bazyliki.

A jednak został po nim jeden jeszcze największy i niezniszczalny pomnik koncentrujący w sobie jakoby wszystką treść jego uczuć, dążeń i myśli, dający najlepszy wyraz głębokości jego ducha i miłości Bożej.

W r. 1905, po stracie ukochanych dzieci, postanowił wybudować na chwałę Bożą świątynię

w Mińsku. Jak prawdziwy chrześcijanin, nie tylko nie dał się złamać nieszczęściu, lecz wzięwszy krzyż na barki swoje szedł z nim na kalwarię, by na jej szczycie oddać Bogu cześć i chwałę. Chciał złożyć ofiarę błagalną w postaci świątyni Pańskiej pod wezwaniem patronów śp. syna: św. Symeona, i śp. córki: św. Heleny. Myślą jego przewodnią prócz tego było, że „nie może być, aby w tłumie modlących się na nowym miejscu nikt nie przypomniał sobie o fundatorze i za mnie i za moich zmarłych, ostatnich potomków mego rodu, nie zmówił „Anioł Pański“ (Wspomnienia str. 96). Wybrał zaś na to miejsce Mińsk dlatego, iż położył tam największą część swej pracy społecznej i że rzeczywiście budowa drugiego kościoła była tam nagłą potrzebą. Dawniej, aż do powstania 1863 r., Mińsk posiadał oprócz starego pojezuickiego, katedralnego kościoła jeszcze kilka przy zakonach ówczesnych, oraz parafialny za miastem na t. zw. „Złotej Górze“. Po zamknięciu jednak zakonów pozostał tylko kościół katedralny, tak szczupłych rozmiarów, że i w części wszystkich wiernych pomieścić nie mógł. Podczas odpustów i dorocznych świąt uroczystych tłumy ludu zalegały plac katedralny, nawet podczas mrozów czy zamieci śnieżnych. Takie objawy życia katolickiego, rozlewającego się na zewnątrz, były solą

w oku sfer rządzących. To też gdy władze duchowne poczęły starać się o pozwolenie wybudowania drugiej świątyni w tej części miasta, która się wówczas najwięcej rozbudowywać zaczęła, nie znalazły one zbyt wielkich trudności ze strony rządu. Gorzej jednak przedstawiała się strona finansowa i wybrany komitet budowy nowego kościoła miał do przezwyciężenia wielkie pod tym względem trudności. W tym właśnie czasie pp. Woyniłłowiczowie dotknięci wyżej wspomnianymi ciężkimi krzyżami, ostatnio zaś śmiercią jedynaczki, postanowili wybudować go na swój wyłączny koszt.

Dnia 19 maja 1905 r. po dość długich staraniach zostało wreszcie uzyskane pozwolenie na budowę. Miasto ofiarowało tylko piękny plac, który oczyszczono ze wszystkich starych budowli i nieczystości i postanowiono przystąpić do pracy.

Chodziło teraz o wybranie architektonicznie odpowiedniego stylu, który odpowiadałby tak warunkom zewnętrznym otoczenia jak i duchownym fundatorów. Gotycki był wówczas zbyt powszedniałym w kościołach katolickich w Rosji i zanadto ostro odbijał od bizantyjskich kopuł cerkwi prawosławnych. Duszy zaś p. Edwarda szlachetnej i prostolinijnej odpowiadał bardziej

styl romański swą prostotą i czystością linii. Był istotnym wyrazicielem jego uczuć, dając budowę mocną, rozłożystą, głęboko wrośniętą w ziemię, z której się wyrwać nigdy nie da, jakoby zrośnięty z nią w jedną całość, jak były nim serce i dusza p. Woyniłłowicza.

Po długich debatach i poszukiwaniach zatrzymano się nad projektem i planami architekta Pajzderskiego, profesora sztuk pięknych w Warszawie. Wzorował się on na stylu kościoła w Jutrosinie w Poznańskim, wybudowanego przez tegoż samego architekta. W ciągu następnych kilku lat przepiękna ta i bogata bazylika została ukończoną i poświęconą w r. 1907.

Jak wspomniano powyżej, wszystkie koszty łącznie wziął na siebie szczerzy fundator, co wyniosło około 300.000 rs. Tylko ambonę, mozaikową posadzkę i balaski ofiarowała przezacna jego małżonka. Chcieli bowiem oboje widzieć w tym własną tylko wspólną ofiarę. Pewne mniejsze sumy złożone przez innych ofiarodawców zostały oddane już po ukończeniu budowy na dzwony i organy. Umieszczonym tam też został potem piękny starożytny obraz Matki Boskiej, ofiarowany przez rodzinę Skirmuntów, oraz cudowny krzyżyk, pochodzący jeszcze z słuckiej fary. Nadmie-

nić jeszcze wypada, że przy świątyni, w rodzaju kapliczki, ustawiono bronzową kopię statuy Matki Boskiej, znajdującej się na kurhanie cmentarnym w Sawiczach. Wkrótce ta dziwnie piękna i przemawiająca do serca ludzkiego statua stała się przedmiotem szczególnej czci i nabożeństwa pobożnych.

Przystąpiono później do dekoracji wewnętrznej, lecz ta praca została już przerwana przez wojnę i ukończenia jej nie doczekał się już p. Edward. Obecne zaś rządy bolszewickie, szalejące nienawiścią do wszystkiego co jest Boskim i chrześcijańskim, zawładnąwszy Mińskiem, wygnały stamtąd ostatniego proboszcza ks. kan. Żołądkowskiego, a przepiękną bazylikę zamienili na jedną ze swych bezbożnych instytucyj!...

Cała więc ta piękna i ofiarna praca, płynąca z gorącego katolickiego serca, ten prawdziwy pomnik chwały Bożej, świadczący o przepięknych uczuciach miłości, gorliwości i głębokiej wierze fundatorów, z woli Bożej poszła jakoby czasowo na marne. Mówimy jednak śmiało „czasowo“, gdyż dobro nigdy zginąć nie może. Bóg zaś w swych niezbadanych wyrokach pozwoli niezawodnie, aby Krzyż, zwyciężywszy szatańską pięcioramienną

gwiazdę, zajaśniał znowu kiedyś swym niezmierzonym blaskiem z kopuły tej bazyliki, nie tylko na stare miasto Mińsk, lecz i na odrodzone w wie-rze... Polskę i Rosję.

## Krzyż i cierpienia.

„Co przeżyłem, co przebolełem — Bogu to ofiaruję.“

Oto są słowa, od których zaczyna p. Woyniłłowicz swój pamiętnik, zamykający dzieje jego żywota, aż do śmierci na wygnaniu. To piękne zdanie, ten okrzyk zbolelej duszy, idącej zawsze po drodze prawej głęboko wierzącego chrześcijanina, najlepiej charakteryzuje jego życie wewnętrzne. Czyż mógł napisać je człowiek nie żyjący w najściślejszym zjednoczeniu z Bogiem?

W roku 1867 umiera w 12-tym roku życia jedyny jego syn, ostatnia latorośl starego rodu, po ciężkiej operacji i zakażeniu wskutek wywiązanej po niej szkarlatyny.

Ten tylko kto pojmie, co musiało dziać się w duszy człowieka tracącego jedynaka, chlubę rodziny, podporę przyszłego rodu, zrozumie nie tylko jego przeogromną boleść, lecz i wielki heroizm duszy

zgodzonej z wolą Boską w tak wielkim nieszczęściu i cierpieniu. Dźwignął się on jednak dzięki religii i życiu wewnętrznemu, które wyrobiło w nim niezłomny hart i siłę do znoszenia najcięższych krzyży. Wspominając o tej tragicznej chwili pisze w testamencie co następuje: „Prawica Boża zaciężyła nade mną, zostałem jak ogniwo oderwane od łańcucha, lecz też prawica Boża mnie podniosła. Bóg dał mi siły, że nie upadłem. Bóg zachował mi wówczas córkę, której zalety charakteru i umysłu były dla mnie widomym znakiem miłosierdzia Bożego nad głową moją i nie pozwoliły mi upaść pod apatią i zwątpieniem.“

Wówczas to prawdopodobnie oddał się gorliwiej pracy społecznej i dobrym uczynkom, które analizowaliśmy powyżej, szukając w tym uciszenia szalejącego cierpienia wewnętrznego. Lecz gdy tak powoli i z pomocą przede wszystkim łaski Bożej i usilnej, wewnętrznej pracy nad sobą doszedł do pewnego uspokojenia, nowy i najcięższy krzyż spadł na jego zbolące już barki.

Córka Helena, uosobienie wszystkich cnót dziewczych, ukochana przez oboje rodziców, a pod względem duchowym upodobnienie ojca, umiera w Sawiczach w roku 1903 na ciężkie zapalenie

kiszek. Wszelkie starania i najlepsi lekarze sprowadzani z Warszawy nie mogą mu uratować tego wyjątkowo szlachetnego i uduchowionego dziecka. Umiera wprost jak święta na oczach slaniających się z bólu rodziców. Przechodzi na tamten świat z pełną świadomością, że „powraca do Boga“, u którego spotka się z ukochanym braciszkiem.

Tu należy się przytoczyć epizod najlepiej charakteryzujący wysoki poziom uczuć religijnych tego wielkiego naśladowcy Chrystusa.

Gdy Helena ciężko chora zażądała ostatnich Sakramentów świętych, nie było w pobliżu zgola żadnego kapłana, który by ją mógł opatrzyć. Musiano posyłać aż o kilka mil dalej po księdza. Trwało to jednak niestety kilka godzin. Gdy zaś przybył z Sakramentami, chora była już bezprzytomną. Wówczas nieszczęśliwy ojciec, nie chcąc dopuścić do tego, by Najświętszy Gość przybył napróżno do jego domu, rzucił się do nóg kapłana, wypowiadał się i przyjął Go do serca swego zamiast konającej córki. Czyż to nie był heroizm w takiej chwili i czyż nie można przypisać tego tylko intensywnemu choć ukrytemu jego życiu wewnętrznemu, kierującemu wszystkimi jego czynami?

Gdy ktoś spytał wówczas kapłana, czemu nie pozostaje dłużej, by pocieszyć zboliałych rodziców, odpowiedział wzruszony do głębi: „Nie mnie ich pocieszać! Ja od nich uczyć się tylko mogę głębokiej wiary, miłości Bożej i rezygnacji.“ Pod wpływem tego drugiego, strasznego jeszcze ciosu pisze te słowa pełne najwyższego poddania się woli Boskiej: „Wielki, mocny i potężny Pan Zastępów! Silne ramię Jego, ciosy rozdziela na swą miarę, a potem dźwiga człowieka, aby znosił je i nie upadł, a wytrzymał aż do końca, aż się zadość stanie sprawiedliwości Pańskiej. Z silnego niegdyś drzewa rodu mego opadała gałąź po gałęzi, aż zostałem jeden jako konar, na zamarcie skazany, jak gromem rażony, którego już żadna wiosna nie ożywi. Tak Bóg chciał!“ Wówczas to powstaje wyżej opisane postanowienie wybudowania świątyni Pańskiej imienia zmarłych dzieci, jako akt prześlągnięcia i upokorzenia się przed karzącą ręką Boską i ofiarowania Mu na wsze czasy godnej ofiary zboliałego serca. Pracą i całkowitym oddaniem się budowie zagłuszyć chciał też poniekąd i ukoić swój ból i tęsknotę za ukochanymi.

Ileż więc przy tym wzniosłych myśli, ile pokornych i rzewnych modlitw nie zostało jakoby „wmuro-

wanymi“ w każdą cegielkę tej świątyni — Bogu tylko Przedwiecznemu wiadomo. Rzecz jednak niewątpliwa, że te łzy i ofiara zostały przyjęte przez Pana i choć obecnie z wyroków Opatrzności ofiara wielkiego serca jest sponiewieraną przez pospólstwo bezbożne — kiedyś jeszcze spełni ona swoje przeznaczenie, gdy ręka Boska odwróci się od nich...

Taka piękna myśl zamieniona w czyn nigdy zginąć nie może i przyniesie kiedyś swój setny i tyśiączny plon.

Temu intensywnemu, choć tak bardzo ukrytemu przed ludźmi życiu wewnętrznemu zawdzięcza on także, iż gdy dotknęły go jeszcze później inne ciężkie ciosy, straty materialne, zniszczenie całego dorobku pokoleń podczas rewolucji bolszewickiej, gdy mu odebrano ojcowiznę i rozpoczął swą przymusową „exodę“ ruszając w świat nieznany — nie upadł już nigdy na duchu. Z równym mu zawsze spokojem i pogodą za każdym nowym, coraz boleśniejszym ciosem powtarza tylko zawsze swe: „Fiat.“

Przypatrzymy się teraz dalszym jego losom w tej nieszczęsnej epoce wygnania.

## „Exodus“.

Kto widział i przecierpiał straszną wojnę światową, która poczynając od 1 sierpnia 1914 roku przeorała wzdłuż i wszerz ziemie polskie od zachodu do dalekich jej wschodnich rubieży i powrotną falą, ten tylko pojmie, ile mógł znieść obywatel kresowy osiadły nad drogą należącą do głównych szlaków wojennych i łączących Zachód ze Wschodem. Najprzód zaraz po wybuchu wojny ciągnące się długie bez końca szeregi powozów, bryczek i najprostszych drabiaków pokrytych budami, a przepełnionych nieszczęsnymi rodzinami ludzi zmuszonych przez wojska rosyjskie do opuszczenia mienia i dążenia za wojskiem do Rosji z resztkami swego żywego i martwego inwentarza. Wynikające z tego grabieże zgłodniałych tłumów, a w następstwie zimna i niewygód zaraźliwe choroby i ich nieodstępna towarzyszka... śmierć. Przy tym wszystkim najkompletniejsza dezorganizacja w gospodarstwie, robotnik rolny po większej części albo wzięty do wojska, lub zapędzony przymusowo do dostaw wojennych i robót fortyfikacyjnych kędyś w głąb kraju z wozami i końmi. Od chwili wybuchu wojny zmieniło się do niepoznania całe życie tak ziemian jak i włościan, na których szczególnie demoralizująco wpływał ten stan rzeczy. Bliższych szczegółów

tego okresu powtarzać nie będziemy. Wiemy tylko, że u p. Woyniłłowicza były wielkie straty materialne i że przygnębienie moralne musiało zapanować z konieczności. O ile mógł jednak, walczył z zachłannością i potrzebami władz rosyjskich i później niemieckich, gdy okupowały przez dłuższy czas dużą część Mińszczyzny i Wołynia. W roku 1917 rozpoczął się w Rosji pierwszy okres rewolucji, zapoczątkowanym został upadkiem caratu, rządami samozwańczymi Kiereńskiego itp. W ślad za tym nastąpiły rozruchy agrarne, tolerowane przez nowe rządy, a prowadzące do wywłaszczenia właścicieli ziemskich, oddając zarząd nad nimi jakowymś „komitetom“, składającym się z parobków i włościan, panoszących się w jak najniekulturalniejszej formie nad „cudzym“ i pastwiącym się nad nim.

Pierwszy jednak prawdziwy 3-dniowy pogrom domu Sawiczowskiego nastąpił w lutym 1918 r., w którym, jak powiada p. Edward: „zginął dorobek kulturalny 11 pokoleń, zginęło wszystko to, cośmy zbierali od połowy XVI w. od sprzętów i mebli do przedmiotów sztuki i dokumentów skatalogowanych w rodzinnych archiwach“. Przewidując już ten dzień, przeczuwając zbliżającą się falę od wschodu, pisze on dalej: „Z rana wstawa-

liśmy, dziękując Bogu, że nam jeszcze w łóżku noc tę spędzić pozwolił, wieczorem kładliśmy się spać po modlitwie, by nas przez noc nadchodzącą jeszcze ta klęska ominęła. Wierzyłem najmocniej jednak, że u nas pogromu nie będzie, gdyż poczuwając się do wspólnego pochodzenia z ludem miejscowym, w każdym wypadku z radą, pomocą jemu śpiesząc, miałem nadzieję, że wspólnemu tragicznemu losowi nie ulegnę.“ („Wspomnienia“.) Stało się jednak z woli Boskiej inaczej i przeogromną goryczą napęłniło to serce tego ojca swych niewdzięcznych dzieci. Za ledwie w cudowny tylko sposób życie swe i żony ocalił przed nieprzytomną, nienawistną tłuszcą swych „ukochanych“ Białorusinów. Co za męki moralne mógł przecierpieć wówczas ten człowiek, który chroniąc się przez całą noc w lesie był ukrytym świadkiem rabunku całego swego mienia, martwego i żywego inwentarza przez rozbestwioną tłuszcę, to Bogu tylko wiadome. Nic dziwnego, że wspominając o tym mógł umieścić pow. umieszczone słowa: „Co przeżyłem, co przebolełem, Bogu to ofiaruję.“ Nadejście oddziałów okupanckich Niemców uratowało mu wówczas życie, lecz nie powróciło już dokonanych podczas 3-dniowego pogromu strat. A jakżeż reaguje on na tę pastwiącą się nad nim bezmyślną zgraję rabusiów? Przy-

bywszy potem do dworu i widząc, że kilku najgorszych dworskich bolszewików „prowodyrów” chcą władze niemieckie powiesić, wstawia się za nimi i ratuje im w ten iście chrześcijański sposób życie. Z głębokim tylko smutkiem konstatuje, że najgorszymi okazali się ci ludzie, którzy od kilku pokoleń tylko dobrodziejstwa od dziedziców otrzymywali, których synowie i wnukowie byli przez niego wspierani i kształceni. Pozostał jeszcze kilka miesięcy w sąsiednim majątku Puzowie, starając się doprowadzić gospodarstwo sawickie do jakiegokolwiek porządku. Niestety 2-go grudnia tegoż roku był zmuszonym opuścić na niewiadomo jak długo gniazdo rodzinne. Po wyjściu Niemców z okolicy bolszewicy rozpanoszyli się na nowo i stało się wprost niemożliwym przebywać dłużej wśród tej dzikiej zgrai.

Odtąd rozpoczyna się I-sza część „exody” Woy-niłłowiczów. Uprowadzeni o planowanym zamachu na ich życie, oboje wyjechali cichaczem saniami najprzód do Nieświeża, a stamtąd dalej w świat i losy nieznane. Wraz z całą masą podobnych do nich tułaczów, po różnych przygodach i niewygodach trzydniowej podróży, w najokropniejszych warunkach lokomocji przybyli wreszcie do Warszawy. Tam znaleźli chwilowe locum i serdeczną

opiekę u bardzo zacnych pp. A. P. i odetchnęli tam wreszcie, pozostawiając swe dalsze losy Boskiej Opatrzności.

Odtąd do końca sierpnia 1919 roku przebywał p. Woyniłłowicz stale w Warszawie, a dźwignąwszy się mocą niepokonanego ducha z przygnębienia i apatii oddaje się gorąco pracy społecznej i bierze żywy udział we wszelkich poczynaniach różnych komisij w nowopowstałym państwie Polskim, interesując się wszelkimi objawami jego życia. Nie zapomina jednak przy tym nigdy o sprawach związanych ze swą ziemią rodzinną, t. j. z Kresami — białoruskimi.

Nadzwyczaj szanowany i ceniony przez całe społeczeństwo, wzywany jest na najpoważniejsze narady i prezesuje stale nowopowstającym komitetom i komisjom opiekującym się nieszczęśliwymi uchodźcami z Rosji i emigrantami pozostałymi często bez środków do życia. Smutkiem i troską przejmował go tylko los dwóch ukochanych siostr, pozostałych w Słucku i Bobrujsku, o których wiedział, że zostały aresztowane przez bolszewików, więzione i dręczone w czrezwyczajce. Bogu tylko ich los i życie jak zawsze poleca.

Wreszcie jeszcze raz próbuje wraz z żoną powrócić do opuszczonego gniazda. Korzystając

z okupacji Białorusi przez wojska polskie wyjeżdża najprzód p. Woyniłłowiczowa do ogołoconych ze wszystkiego Sawicz. Następnego zaś dnia p. Edward podąży za nią przez Mińsk. Dnia 9 września pow. roku wstąpił wreszcie znowu w progi zrujnowanych i ogołoconych z najprymitywniejszych sprzętów i mebli Sawicz. Naocznie przekonał się o uczynionych spustoszeniach. Lecz z wiarą w lepsze jutro zabrał się znowu do pracy nad odrestaurowaniem resztek własnego mienia. „Ściany nagie, meble połamane, buty na mnie dziurawe, archiwum i biblioteka rozgrabione, parę talerzy i kilka sztuców na stole do kaszy i kartofli“ — jak pisze: to jest całe dziedzictwo byłego bogacza sawickiego...

Odtąd gospodarząc trochę na tych zgłiszczach, lecz też jak zawsze biorąc udział przede wszystkim w licznych sprawach społecznych i częściowo politycznych, w ciągłych rozjazdach do Mińska, Wilna i Warszawy pomimo niewygód ówczesnych czasów zamętu, 72-letni starzec niestrudzenie poświęca swe zdrowie i naraża życie dla spraw ogólnych.

Gdy jednak na wiosnę 1920 r. przyszła zatrważająca wieść o przerwaniu frontu polskiego przez bolszewików, rozpacz zaczęła znowu ogarniać

serca ludzkie na myśl o następstwach cofania się wojska polskiego. Niestety już w lipcu z polecenia starostwa musiano ewakuować majątki z inwentarzy skompletowanych z takim trudem i kosztem, psując przy tym wszelkie maszyny rolnicze, by nie dostały się w ręce wroga. Ta wiadomość spadła na całe obywatelstwo jak grom. Woyniłłowiczowie zdążyli tylko zająć raz jeszcze na kurhan rodzinny, by pożegnać groby ojców i dzieci swoich, prosząc tylko Boga, by pozwolił choćby prochom ich powrócić do katakumb rodzinnych. Po spakowaniu na kilku wozach resztek ocalonego jeszcze mienia wraz z sędziwą siostrą, marszałkową Horwattową, opuścili wieczorem ukochane Sawicze, tym razem już na zawsze dnia 7 lipca 1920 r. Wyjazd ten różnił się jednak tym od pierwszego, że był jawny, nie zaś ucieczką przed zbrodniarzami, i że byli żegnani głośnym szlochem i łzami całej ludności dworskiej, wołającej za nimi: „Niech pan wraca jak najprędzej!“ Od tej chwili rozpoczęła się okropna wędrówka od komina do komina, od dworu do dworu, byle dalej od bolszewika, byle prędzej do Polski!

Jakiś czas przebywali pp. W. w domu krewnych w Bzowcu w Lubelskim, skąd p. Edward jeszcze raz postarał się zajrzeć w rodzinne strony, korzy-

stając z rozejmu w walkach z bolszewikami. Dążył do tego, by, jak marzył, złożyć pomimo wszystko swą głowę w kurhanach rodzinnych. Przybył tam 27 listopada 1920 r. Zabawił jednak tylko 3 godziny, gdyż już ostatnie wojska i władze polskie opuszczały tę strefę, oddając ją włącznie z Sawiczami ostatecznie władzom bolszewickim. Pożegnał je wówczas już bezapelacyjnie raz na zawsze.

Jedyna nadzieja, że jeszcze w czasie podpisywania pokoju w Rydze da się wyratować dla Polski jeśli już nie Sawicze to Puzów, okazała się płonną. Przez ugodę z posłem bolszewickim Joffem w Rydze cały ogromny szmat kresowej polskiej ziemi z kilku milionami ludności katolickiej odcięty został od macierzy i rzucony na pożarcie bolszewickiemu molochowi. Tym samym została też przekreślona z górą półwiekowa praca społeczna i narodowa Woyniłłowicza, wszystkie jego najgłębsze uczucia patriotyczne zostały głęboko zranione, a on sam wyrzucony poza obręb swej rodzinnej, ukochanej ojczystej Białorusi. Stało się to pamiętnego dnia 18 marca 1921 r., gdy akt ten „jakoby 4-go podziału Polski“ został podany do podpisania marszałkowi Piłsudskiemu. Woyniłłowiczowie pozostali jedynie przy małym skrawku

ziemi po stronie polskiej, odciętych od całości linią graniczną, a należącym wspólnie do kilku członków rodziny, na którym utrzymać się było niemożliwym.

Na tę ostateczną krzywdę losu p. Edward odpowiada tylko jak zawsze: „Bóg chciał jeszcze tym mię doświadczyć, niech się stanie podług woli Jego!”

### Śmierć na wygnaniu.

Po tych ostatnich bolesnych przejściach, przekonawszy się, że z wyroków Opatrzności pozbawieni zostali w wielkiej mierze podstaw normalnego życia, z resztkami swego mienia zamieszkali pp. Woyniłłowiczowie w Bydgoszczy, dokąd w tym czasie schroniła się wielka ilość podobnych jak oni wygnańców z kresów. Tu też 16 lipca 1928 r., opatrzony św. Sakramentami, oddał Bogu swą piękną duszę, przepelniony najwznioślejszymi uczuciami chrześcijańskiej rezygnacji i miłości Bożej. Czując zbliżającą się śmierć zwrócił się do otaczającej go rodziny ze swą ostatnią wolą: „Za dni kilka umrę“, mówił. „Nakazuję wam, byście nikogo absolutnie o śmierci mej nie zawiadamiały. Pochowany mam być w prostej trumnie drewnia-

nej, wieść ją ma karawan zaprzężony w jednego konia i... o ile można chcę leżeć na cmentarzu w pobliżu płota!" Do tego też życzenia pokornego sługi Bożego zastosowano się dokładnie, jak widzieliśmy to w opisie jego niezwykłego pogrzebu.

O ostatnich latach jego życia, spędzonych w tym pięknym, lecz obcym jego duchowi mieście, najlepsze świadectwo mogą wydać ci co go w tym okresie znali i podziwiali. Słusznie też wyraził się ktoś z jego bliższych przyjaciół i świadek, z jak wielką pokorą znosił ten dopust Boży: „Nigdy ten magnat nie był właściwie tak wielkim, jak w biedzie.“ To też otaczała go zawsze największa cześć bliźnich a obcy głęboko przed nim chylili czoła. Szczególne bowiem wrażenie robiło jego życie prywatne. Ten były „wielki pan“ najkompletniej pogodzony ze swym okrutnym losem w zdumienie wprowadzał tych, co go wówczas znali. Zamieszkał w niewielkim mieszkanku na IV-tym piętrze z chorą żoną; obchodząc się bez sługi sam dźwigał węgiel z piwnicy, sam chodził na targ po zakupy i spełniał wszelkie najskromniejsze funkcje gospodarskie. Podobno mógł się jednak urządzać wygodniej, sprzedając ów ocalony kawałek ziemi. Lecz prawdziwie granitowy jego charakter nie pozwolił na to ustęp-

stwo. Nie sprzedawszy przez całe życie ani piędzi ziemi, nie wyzbył się jej też i na starość, choć miał do tego najkompletniejsze prawo. Wolał cierpieć niedostatek, niż sprzeniewierzyć się choć w drobnostce swym zasadom. Jedynie, gdy mógł w prawny sposób uratować małą część swych kapitałów ulokowanych w papierach bankowych, uczynił to, by zabezpieczyć w najskromniejszy choćby sposób pozostałe lata życia swej schorowanej małżonce.

Tu też ile mógł nie rozstawał się ze swą chrześcijańską zasadą miłości bliźniego. Wspierał wedle możności jeśli już nie pieniądze to dobrą radą, kierownictwem i swym wielkim sercem rozliczne rodziny zubożałych jak on sam kresowców, oraz instytucje związane z ich smutnym losem. Takim był np. Internat Kresowy, który przez szereg lat ofiarnie przygarnął, z pomocą materialną miejscowego społeczeństwa, stu kilkudziesięciu młodzieńców pozbawionych przez bolszewików i wojnę rodziny i dachu nad głową. Stał się też rzeczywiście ich moralnym dobroczyńcą. Jemu także zawdzięczała swoje istnienie znana Kuchnia Kresowa, która wydawała przez kilkanaście lat darmowe obiady nieszczęśliwym wygnańcom z ziemi rodzinnej. Nie ustawał też w zabiegach, by różnymi imprezami, organizowanymi z wielką

nieraz trudnościami przez panie komitetowe, zebrać środki niesienia im pomocy i polepszenia ich bytu. A zawsze jaśniał niezmierną pogodą ducha, promieniując nią wokoło, co przedstawiało wielki kontrast z usposobieniem ogromnej większości takich jak i on majątkowych rozbitków. Ci co mieli szczęście być z nim wówczas w bliższym kontakcie, przyznają, że po każdej rozmowie z nim wychodzili z wrażeniem, że są lepsi, odporniejsi na ból i cierpienie. Nikt nie wyczuł nigdy w nim przygnębiającego smutku z powodu ruiny majątkowej, ani skargi na obecne ciężkie i nieodpowiednie warunki życia. Zdawać by się mogło, że to było zupełnie naturalnym, że nigdy nie było... inaczej!

Wreszcie pięknie i słusznie wyraził się o nim jeden z tych, co go poznali właśnie w tym okresie próby i upokorzenia i który był zbudowany głęboko jego niezwykłymi cnotami: „W osobie jego poznałem takiego człowieka, o jakim tylko dotychczas czytałem, poznałem doskonałego chrześcijanina, wielkiego patriotę i mędrca, który potęgą woli potrafił wznieść swego ducha na takie wyżyny, na których nie ma już materialistycznego pojęcia o szczęściu, na których ruina majątkowa nie jest nieszczęściem, a z bogaceniem się nie jest szczęściem, lecz panuje tylko miłość

Boga, bliźniego i Ojczyzny, oraz poczucie spełnionego obowiązku.“ (Mowa pogrzebowa mec. Żuromskiego.) Na tych to wyżynach duch jego jaśniał niezmaconą pogodą i spokojem i nie przestanie nigdy przyświecać nimi obecnym i przyszłym pokoleniom, jako wzór do naśladowania, jakim być powinien dobry Polak i przykładny a niezłomny chrześcijanin — katolik.

## Spis rzeczy:

|                                       |    |
|---------------------------------------|----|
| 1. Wstęp . . . . .                    | 5  |
| 2. Wiek dziecinny i młodość . . . . . | 9  |
| 3. Ziemianin społecznik . . . . .     | 25 |
| 4. Dobroczyńca . . . . .              | 37 |
| 5. Fundator bazyliki . . . . .        | 41 |
| 6. Krzyż i cierpienia . . . . .       | 46 |
| 7. Exodus . . . . .                   | 51 |
| 8. Śmierć na wygnaniu . . . . .       | 59 |



# BIBLIOTEKA ŻYCIORYSY BOHATERÓW CZYNU

---

Cena każdego tomiku zł 0,50

Nr 9. Z. SIKORSKA

**Eugenia Bonnefois,**

apostołka kramarzy i jarmarczników

Nr 10.

**Paweł Pius Perazzo, urzędnik, apostoł**

Nr 11. F. SUCHODOLSKA

**Jadwiga z Działyńskich Zamoyska,**

służebnica Pańska

Nr 12. GABRYELLA ŁANCUCKA

**Maurycy de Gatellier,**

ziemianin, apostoł Akcji Katolickiej

Nr 13. GABRYELLA ŁANCUCKA

**Maurycy Retour,**

młody przemysłowiec, apostoł

Nr 14/15. S. BARBARA ŻULIŃSKA C. R.

**Dr Józef A. Żuliński, budowniczy Boży**

Nr 16. MARIA SZAFRANÓWNA T. S. A.

**Marta de Noaillet,**

apostołka Chrystusa Króla

---

NAKŁAD KSIĘGARNI I DUKARNI KATOLICKIEJ S. A.  
KATOWICE, UL. MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO NR 58

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000756097



I 48292